Cena pojedyńczego Nr. 30 gr.

Rok III. Radom, listopad 1926 r. Nr. 3.

FILARETA

MIESIĘCZNIK K. M. „FILARECJA" GIM. PAŃSTW. IM. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU.

DLA CIEBIE POLSKO i DLA TWOJEJ CHWAŁY!

Fryderyk Chopin.

Fryderyk Chopin urodził się dnia 22 lutego 1810 r. we wsi Żelazowej Woli niedaleko Warszawy. Ojciec jego Mikołaj Chopin według jednych pochodził z Francji, według drugich był potomkiem dworzanina króla Stanisława Leszczyńskiego nazwiskiem Szop, który, osiadłszy we Francji, zmienił nazwisko swoje na francuskie — Chopin. Dosyć, że pan Mikołaj Chopin, w młodości jeszcze przybywszy z Lotaryngji do Polski, tu zamieszkał na stałe w Żelazowej Woli jako nauczyciel dzieci hrabiów Skarbków. Po pewnym czasie wszedł w związki małżeńskie z niebogatą lecz inteligentną szlachcianką—Justyną Krzyżanowską. Z tego to małżeństwa przyszedł na świat Fryderyk. Wkrótce po jego urodzeniu rodzice jego przenieśli się do Warszawy, gdzie pan Mikołaj Chopin otrzymał posadę profesora języka francuskiego w Liceum.

Fryderyk od najpierwszej młodości okazywał wielką wrażliwość na muzykę; nadzwyczajne do niej zdolności troskliwie były pielęgnowane przez rozumnych rodziców. Pierwszym nauczycielem muzyki, a mianowicie gry na fortepianie, do którego to instrumentu okazywał młodociany Chopin specjalny pociąg, był Wojciech Żywny, który kształcił go w duchu klasycznym, lecz nie krępował indywidualności ucznia. Fryderyk czynił postępy

wprost zadziwiające: już w ósmym roku życia występował z wielkim powodzeniem publicznie na koncercie dobroczynnym i od tej pory stał się mały wirtuoz jako „cudowne dziecko“ ulubieńcem warszawskich sfer arystokratycznych. Skoro Żywny wyłożył młodemu Chopinowi już wszystkie tajniki swej umiejętności, zajął jego miejsce Józef Elsner, ucząc go początkowo prywatnie, a następnie w Szkole Głównej Muzyki. Oprócz gry na fortepianie rozpoczął on z Fryderykiem naukę kompozycji. W piętnastym roku życia Chopin był najlepszym pianistą w Warszawie.

Rodzice jego, tak dbając o wykształcenie muzyczne syna, nie zaniedbywali i rozwijanią jego władz umysłowych, kształcąc go w najlepszej ówczesnej szkole warszawskiej, to jest w Liceum. Tam Fryderyk zawarł serdeczną przyjaźń z Tytusem Wojciechowskim, Juljanem Fontaną oraz Janem Matuszyńskim. Wakacje spędzał na wsi, bądź w Żelazowej Woli, bądź w Szafarni u Dziewanowskich, bądź w Służewie u Wodzyńskich. Tam przyszły mistrz miał możność wsłuchiwania się w dźwięki skrzypiec i basetli, dochodzące z karczmy przydrożnej, w wiejskie piosenki, w zawodzenia pastuszej fujarki. Te dźwięki, a raczej nie dźwięki, lecz ich charakter, ich polskość, przyjmowała wrażliwa natura chłopca i ukrywała aż na dnie duszy, aby je potem wcielić w Mazurki i Polonezy.

Lecz wróćmy do życiorysu. — Bezustannie kształcony na polu muzyki, próbuje Chopin kompozycji: w r. 1825 ogłasza drukiem swój pierwszy opus.

Po kilku latach, ukończywszy Szkołę Główną, ma już w tece kilkadziesiąt kompozycji (polonezy, ronda, warjacje, sonata c-moll). Dość często występując, zdobył sobie w Warszawie wielkie uznanie. W r. 1829 wyjeżdża do Wiednia, tam daje dwa koncerty i wraca do Warszawy już ze sławą wielkiego artysty. Tu dalej pracuje jako kompozytor, lecz po roku zamierza znowu udać się w podróż artystyczną. Urządza więc dwa wielkie koncerty pożegnalne, poczem w listopadzie 1830 r. opuszcza Ojczyznę, jak się potem okazało, na zawsze.

Poprzez Wiedeń i Monachjum udaje się do Stuttgartu, gdzie doszła go wieść o upadku powstania, które wybuchło

wkrótce po jego wyjeździe. Chopin, będący głębokim patrjotą, bardzo boleśnie odczuł ten fakt, tem boleśniej, że sam w powstaniu nie brał udziału; wówczas to powstały arcydzieła nacechowane tragizmem i głębokim bólem (etiuda „rewolucyjna", niektóre preludja).

Ze Stuttgartu udaje się Chopin do Paryża i tam, na skutek namów emigracji polskiej, zatrzymuje się. Już pierwsze koncerty Jego w stolicy nadsekwańskiej zdobyły mu zaszczytne stanowisko w tamtejszym świecie muzycznym; zawarł tu ścisłą przyjaźń z wielkim swoim wielbicielem Lisztem. Dochód z koncertów i lekcji pozwala mu żyć dostatnio. Wkrótce Chopin, podobnie jak i w Warszawie, staje się ulubieńcem paryskiej arystokracji.

Przez pierwsze lata pobytu w Paryżu Chopin nie komponował wiele; mazurki (op. 6, 7, 17, 24), pierwsze nokturny (op. 9), pierwszy zeszyt etiud (op. 10), ballada g-moll; dwa pierwsze koncerty, lubo teraz dopiero wydane, powstały wcześniej.

W r. 1835 Chopin udaje się do Karlsbadu w celu zobaczenia się z rodzicami, a w Dreźnie spotyka się z Marją Wodzińską, dawną towarzyszką zabaw w Służewie, a wówczas przystojną i inteligentną panną.

Przypomniała mu ona zbóż łany, rozległe lasy sosnowe, cichą wieś mazowiecką — przypomniała mu Polskę. Odurzony tem wszystkiem Chopin począł się starać o rękę pięknej panny. Wszystko wskazywało na to, że związek ten dojdzie do skutku, matka mu była przychylna, córka również żywiej zajęła się artystą, natomiast ojciec nie widział w nim godnej córki partji. Powróciwszy do Paryża, Chopin prowadził z Marją ożywioną korespondencję, lecz listy panny stawały się coraz rzadsze, coraz zimniejsze, w końcu zerwano wszystko.

Niezadługo potem poznaje Chopin w paryskich salonach panią Aurorę Dudevant, słynną pisarkę francuską, która pisała pod pseudonimem George Sand, z którą, po paru latach bliższej przyjaźni, następuje dłuższe wspólne pożycie.

W tym czasie Chopin, czujący się dotąd zupełnie zdrowo, zaczął zapadać na płuca. Nie pomogły mu wyjazdy do Nochaut,

letniej rezydencji pani Sand, stan się pogarszał, lekarze orzekli, że należy bezwarunkowo wyjechać na południu. Wskutek tego w r. 1838 na zimę Chopin opuszcza Paryż, kierując się na wyspę Majorkę. Pobyt na niej nie dał mu coprawda zdrowia, za to egzotyczność otoczenia była silną podnietą artystyczną.

W Paryżu spędza Chopin czas znowu na dawaniu lekcji, bywaniu w wielkim świecie oraz staraniu się o swe zdrowie, które mimo corocznych wyjazdów do Nochaut ciągle się pogarszało. W roku 1844 bardzo boleśnie odczuł śmierć ojca, oraz przyjaciela ze szkolnej ławy Jana Matuszyńskiego.

Ten okres czasu to najbujniejszy rozkwit genjuszu, powstają wówczas takie arcydzieła jak sonaty (h-moll i b-moll ze słynnym marszem żałobnym), cykl Preludjów (op. 24), mazurki (op. 30, 33, 41, 50, 56, 56, 63 i inne), impromtus, i cały szereg innych utworów zabarwionych jużto egzotyką Majorki, jużto coraz silniej rozwijającą się w duszy mistrza tęsknotą za krajem ojczystym.

Około roku 1846 stosunek Chopina do pani Sand zaczyna się ochładzać, a w rok po tem zrywa się zupełnie.

Niezadługo potem za namową swoich uczennic — Angielek (a właściwie Szkotek) wyjeżdża mistrz do Anglji, a potem do Szkocji z koncertami, lecz klimat brytański ostatecznie podkopał jego siły. W październiku r. 1848 Chopin w Londynie gra po raz ostatni publicznie — na koncercie urządzonym przez emigrację polską.

W początku roku następnego wraca do Paryża w stanie beznadziejnym. Z wiosną nastało chwilowe polepszenie, lecz wkrótce potem stan się znowu pogorszył. Przybyła listownie wezwana jedna z sióstr — pani Ludwika z Chopinów Jędrzejewiczowa z córką i wraz z księżną Marceliną Czartoryską, wielką przyjaciółką Fryderyka, czuwała przy łożu konającego. Ostatnie chwile uprzyjemniała mu swym śpiewem pani Delfina Potocka.

Dnia 17 października 1849 r. przyjąwszy ostatnie Sakramenta, zasnął na wieki.

* * *

Chopin zamknął swoją twórczość prawie wyłącznie w ramach muzyki fortepianowej. Znaczenie kompozycji jego w rozwoju muzyki polega na indywidualności form.

W bezduszną dawniej formę etiudy tchnął Chopin czar poezji. Z jego Scherz bogactwo fantazji oraz nieznane dotąd kontrasty nastrojów czynią perły wszechświatowej literatury muzycznej.

Ballady, powstałe prawdopodobnie pod wpływem ballad Mickiewicza, Impromtus, Fantazje, Preludja, wreszcie Nokturny są improwizacjami bądź rozmarzającemi swoją romantyczną liryką, bądź wstrząsającemi głębią patosu. Formy taneczne nie są przeznaczone do tańca, są raczej programowemi poematami choreograficznemi; polonezy są odbiciem rycerskiej strony Polaka, dawnej potęgi Polski, jej klęsk i upadków; mazurki są obrazkami ludowemi, malującemi dolę i niedolę chłopa polskiego, lecz malują one również tęsknotę Chopina za Ojczyzną, za jej rozległemi niwami, odwiecznemi borami mazowieckiemi. Wreszcie sonaty i koncerty są wyrazem opanowania instrumentu przez mistrza.

* * *

Chopin, będąc jednym z największych genjuszów muzycznych, położył podwójną zasługę dla Polski: po pierwsze — przez wielkie swoje dzieła rozsławił imię Polski na świat cały, a po drugie — stworzył muzykę narodową, godną stanąć obok muzyki włoskiej lub niemieckiej.

Wyrazem uczuć niepodległej Polski dla wielkiego wieszcza tonów jest wspaniały pomnik dłuta p. Wacława Szymanowskiego, który dn. 21 listopada 1926 roku został w Warszawie uroczyście odsłonięty.

W cieniu karłowatej wierzby siedzi Mistrz, pogrążony w rozmyślaniach. W rozmyślaniach — jak z krwawego posiewu niewoli wykwitła przecudna jutrzenka wolności.

T. E

SEN.

Dziwny miałem sen...

Otaczała mnie nieprzejrzana, kirowa ciemność...

Skuliłem się, skurczyłem, przygnieciony jej grozą. W sercu zbudził się głuchy, przykry niepokój, z upływem czasu przeradzający się w lęk, w przerażenie. Począłem się męczyć — bolały

mię oczy... a dusza rozdygotała się szalonem pragnieniem światła, wzrastającem aż do rozmiarów tęsknoty piekącej, rozsadzającej pierś bólem...

Oczekiwanie wiek trwało...

Już uwięziona w rozpaczy, jak ptak w klatce, dusza martwiała, gdy w tem... ciemność poczęła szarzeć... Wyciągnęły się pijane radością ramiona ku brzaskowi, brały w siebie jego błogosławieństwo umęczone źrenice.

Przedemną w sinawem świtaniu zamajaczył jakiś ostry, poszarpany, ciemny kontur. Wpiłem się weń oczyma i przekonałem się, że to jakaś olbrzymia, nieczynna maszyna. Setki kół, kółek, trybów, sztang, tłoków, korb i dźwigni napełniły mię podziwem dla wielkiego mechanizmu i dla jego twórcy, lecz ich martwota niewypowiedzianie smutne wywarła na mnie wrażenie.

A stawało się ciągle jaśniej i jaśniej...

W pewnej chwili doszedł mych uszu głos dzwonu. Płynął falą przez przestworza potężny jego, głęboki dźwięk, rozchodzący się coraz dalej i dalej, wypełniający sobą ogrom panującej do niedawna ciczy.

...Jakiś szum... zgrzyt... brzęk... maszyna ruszyła się... Cały systemat uzębionych drobnych kółek począł się zwolna obracać, nadając ruch trybom większym, szarpnęła sztanga raz i drugi, machnęło koło rozpędowe...

Ze zdumieniem i ciekawością przypatrywałem się machinie. Cała ona składała się z trzech części, działów o uzależnionem wzajemnie działaniu. Maszyna była zniszczona — tu brakło śrubki, tam kółko, ówdzie tryb się wyłamał. Powstawały nawskroś głowę wiercące zgrzyty i świsty, niedokładne działanie jakiejś najdrobniejszej części powodowało przeszkodę w ruchu całości, kołatały niedostosowane części, rozluźnione połączenia, zacinał się zaśniedziały, ordzwiały mechanizm.

Maszynę otoczył nagle huf duchów...

Jedne z nich, jasne, zakrzątnęły się koło maszyny, poczęły ją oczyszczać ze rdzy, opatrywać, wyrzucać zepsute części, a wstawiać dobre, dokręcać śruby, zaklepywać nity, oliwić. Inne, ciemne, psuły ukradkiem, co pierwsze zrobiły; wprawiały części źle działające, sypały do wnętrza brud, pył prószyły. Maszyna poru-

szała się coraz prędzej, ale poczęły znów przeszkadzać zepsucia, przez ciemnych wyrządzone. Raz o mało nie popsuła się cała maszyna dzięki zanieczyszczeniu, innym razem niedobrane kółko spowodowało pęknięcie głównego regulatora i samo też prysło w kawałki, podwójną tem wyrządzając szkodę. A trzy działy maszyny nie mogły uzgodnić swego działania, każdy się w inną obracał stronę — całość na tem cierpiała.

Już miejsce ciemności zajęły mleczno-opałowe tumany mgieł, już blada sinawość przestworzy w jasne się fiolety przebarwiła, gdy zerwał się silny wiatr, napędził na firmament ciężkie, ciemnoszare chmury, co rozrosły się w oczach, pół nieba zajęły, cieniami świat powlekając...

Maszyna chrypiała, tarły się w panewkach osie, głucho klekotała jakaś pęknięta pędnia trybowa. Aż trzasło coś wewnątrz, stuknęło, huknęło, posypał się strzaskany metal, maszyna poczęła przystawać...

W tej chwili wiatr zmienił kierunek. Szybko, jak sprowadził, tak i spędził z nieba złowrogie chmury. Rzuciły się jasne duchy do pracy; znowu reparowały uszkodzenia, czyściły, uzupełniały braki, dokładnie badały maszynę od podstaw aż do wierzchu.

Aż ruszyła mocniej, i mocniej... Zgodna praca wszystkich elementów składowych zlała się w jedną wielką, harmonijną, wydajną czynność. Zagrały tysiące uzębionych kółek, buchnął jasny, metalowy dźwięk uderzających o siebie trybów, sapnęły tłoki, gwizdnęło wesoło w obrocie rozmachane koło rozpędowe. Zadrgała machina radośnie miarowem tętnem pracy.

...Bujnie rozkołysało się we mnie serce i jęło mocno bić zgodnie z potężnym rytmem machiny, w którego tęgim odgłosie wyróżniło moje ogłuszone nagle od szczęścia ucho prześwięte imię:

— Pol...ska!... Pol...ska!...

Fioletowe niebo jaśniało, poczęło różowieć, szkarłatnieć, aż padły nań złota bryzgi i wynurzyło się uśmiechnięte a oroszone, niby łzą wzruszenia zaszłe, słoneczne oko. Zabłysły jego całujące promienie na częściach modlącej się doń upojną modlitwą pracy maszyny... T. B.

Sprawozdanie z nabożeństwa za poległych.

W dniu 9 b.m. szkoła nasza postanowiła uczcić nabożeństwem swych dzielnych wychowanków, poległych w obronie Ojczyzny w r. 1920.

Oznaką szkolnej żałoby była tablica pamiątkowa, przybrana wieńcem z jesiennych liści i szarfą o barwach narodowych z krepą.

O godzinie 9 rano, jak zwiastowały rozlepione po mieście klepsydry, miało się odbyć nabożeństwo. Wyruszyliśmy o godz. 8 i pół. W kościele zastaliśmy: krewnych, znajomych poległych, delegację Gimnazjum Mat.-Przyrodniczego z profesorem Krzymowskim na czele, oraz władze wojskowe reprezentowane przez komendanta garnizonu pułk. Weissa i dwóch wyższych oficerów. Wilje, mszę i egzekwje żałobne odśpiewał ks. Bronisław Ekiert ich i nasz prefekt, poczem w poważnych nastrojach, żegnając ostatnim spojrzeniem bardzo ładnie przybrany katafalk, powróciliśmy do szkoły.

x. y.

Z teki Krysi.

BAŃKI MYDLANE.

Sto słońc rozbłysło, sto słońc się mieni,
Rozkoszy tonie światłem nalane,
Czarują wszystkie uśmiechy ziemi,
A wszak to tylko bańki mydlane.

Mieni się marzeń toń lazurowa,
Snują się nici w złocie skąpane,
Snuje się cudna bajka tęczowa,
A wszak to tylko bańki mydlane.

Ach jakieś oczy jasne promienne,
Przebiły sieci z blasków utkane
I patrzą cudne, upojone, zmienne —
Ach nie!... To tylko bańki mydlane.

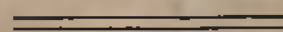
Przez złote łany...

Z obustron wzięła mię w ramiona,
Niwa kłosami wyzłocona,
I rozesłała się kwiatami,
Zielona miedza pod nogami.

I szłam w zachodu jasne zorze,
Przez falujące wielkie zboże
I mogłabym tak iść bez końca,
Przez łote łany — w złoto słońca.

Chwiały się zboża złotą falą,
Aż mi się zdało, że się palą
Złociste kłosy w blaskach zorzy.

I szłam objęta blasków tonią,
I upojona zbóż tych wonią,
Przez łany — w wielki wszechświat Boży.



Sprawozdanie kasowe

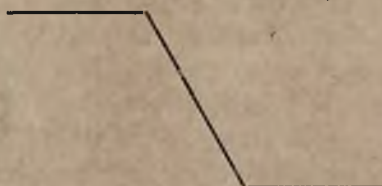
z wydawnictwa „Filarety“ za rok szkolny 1925/26.

Dochód:

Z kolportażu	420,00 zł.
Z przedstawienia „Zemsty“	400,00 „
Jan Saski	25,00 „
Borowska	25,00 „
Palmrich	50,00 „
Fuldowa.	25,00 „
Z komitetu rodzicielskiego	250.00 „
Suma	1,185,00 zł

Rozchód:

Druk 10 num.	1200,00 zł.



Suma .	1200.00 zł

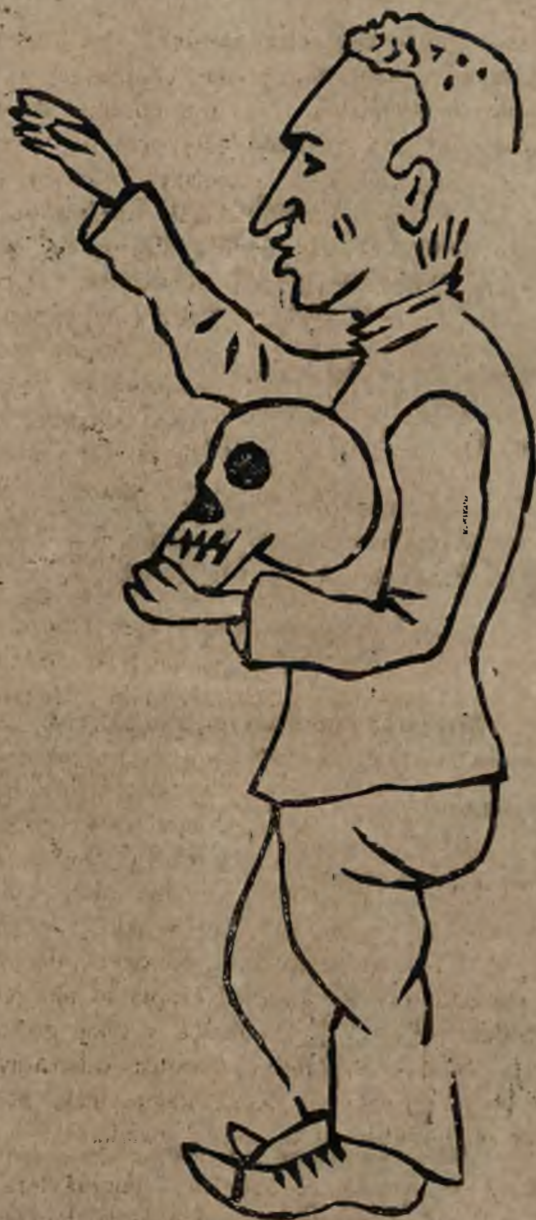
Saldo minus 15 zł. wyrównano z dochodów tegorocznych.

Radom, dnia 27.XI 26 r.

Józef Jentsch.



NASZ FILOZOF.



Rysował H. MYŚLIWSKI. Na linoleum wykonał H. SALAMOŃSKI.

Moja pierwsza kaczka.

Był to jeden z tych ostatnich ciepłych dni letnich. Zaraz po śniadaniu wziąłem flower, z zamiarem udania się na pobliskie stawy. Po drodze rozmyślałem, czy też upoluję co dzisiaj, bo przez całe wakacje, oprócz kilkudziesięciu wróbli i 2 przepiórek, nic większego nie upolowałem. Doszedłszy do stawu, położyłem się na brzegu, bo mi się jakoś niechciało dreptać po wodzie. Leżąc tak i wygrzewając się na słońcu, zauważyłem na przeciwnym brzegu kilka poruszających się punkcików. „Co to może być?" pomyślałem. Zaciekawiony okrążyłem staw, a, przybliżywszy się, spostrzegłem, że są to dzikie kaczki. Wtedy zacząłem się skradać ostrożnie ku nim. Lecz one widocznie poczuły moje zamiary, gdyż dyskretnie chlusnęły z brzegu w wodę, na sposób żabi. Teraz szybciej już podczołgałem się do tego miejsca, gdzie siedziały kaczki, gdy nagle tuż przed nosem, ujrzałem zielony łebek i parę czarnych oczek, patrzących na mnie. Zamiast prędko wycelować i strzelić do niej, poprostu zbaraniałem. Kaczka, nie medytując długo, zerwała się i usiadła opodal za wysokiemi trzcinami, za nią druga i trzecia. Ochłonąwszy trochę, strzeliłem pośpiesznie za tą ostatnią, ale narobiłem jej tylko strachu. Tymczasem zerwały się wszystkie kaczki i, zanim zdążyłem nabić powtórnie flower, przedefilowały mi przed samym nosem.

Zły na siebie, że zmarnowałem taką dobrą sposobność, powróciłem na swoje stanowisko. Obejrzawszy się poza siebie, ujrzałem, przechadzającą się z powagą wielką czaplę. Patrzałem na nią długo, lecz wiedziałem, że jej tak nic nie zrobię. Wtem przyszedł mi na myśl sposób, wyczytany w jakiejś książce o polowaniach w Amer. Północnej, a służący do zwabiania jeleni. Nie zastanawiając się nad tem, że przecież czapla to nie jeleń, leżąc w trawie, zacząłem wymachiwać strzelbą z taką gorliwością, że aż się spociłem. Skutek był jednak wprost odwrotny. Czapla przez chwilę przypatrywała mi się z uwagą, lecz, pomyślawszy sobie zapewne, że to dybią na jej skórę, zwiała.

Zmartwiony tyloma niepowodzeniami, pogrążyłem się w zadumę. Nagle usłyszałem rozgłośne kwakanie, pochodzące ze środka sitowia. Nie wiele się namyślając, zacząłem je naśladować,

gdy wtem ze trzcin wyleciały dwie wielkie kaczki. Widząc, że ten środek może być skuteczny, począłem kwakać, jakgdyby tu całe stado kaczek było. Jedna z kaczek, zatoczywszy półkole, zaczęła lecieć wprost na mnie. Ja zaś, cały drżąc, przygotowyłem się do strzału. Gdy kaczka nadleciała, zerwałem się na równe nogi i, nie celując prawie, wypaliłem. I o cudzie! Kaczka. zamiast polecieć dalej, jak to zwykle bywało, wywinąwszy parę koziołków, bęcła w wodę, aż krople rozpłysły się na wszystkie strony. Skoczyłem jak szalony do niej, nie bacząc, że sobie moczę ubranie, żeby czasem nie uciekła. Radość moja była nie do opisania, bo przecież to była moja pierwsza kaczka, a zarazem pierwsza zwierzyna, jaką upolowałem. Wracałem więc do domu z krzykiem i gwizdaniem, rozpowiadając wszystkim długo i szeroko o moim pierwszym sukcesie myśliwskim.

W. Borowski kl. III.

Ze sportu.

Święto sportowe przysposobienia wojskowego, które miało się odbyć jeszcze w maju b. r., zostało przeniesione na jesień i odbyło się 4 listopada b. r. Do zawodów tych stanął również hufiec szkolny Gimnarjum Państwowego im. Kochanowskiego.

Zawody te wykazały znaczną poprawę wyczynów lekkoatletycznych naszych zawodników, którzy uzyskali następujące wyniki i miejsca:

Strzelanie ostre: Rakowski Marjan . . . . I m. 52 p.
„ „ Myśliwski Hieronim . . . . III m. 50 p.

oraz cały zespół nasz (Rakowski, Myśliwski, Białek i Stachurski) uzyskał I m. drużynowo, wziąwszy 196 p. (na 240 możliwych).

Bieg 100 m. — Majewski Leon . III m. czas 12,2'
Oszczep — Majewski Leon . . IV m. „ 36,58 m.
Dysk — Majewski Leon. . . . II m. „ 27,00 m.
„ — Białek Bogdan. . . . IV m. „ 26,30 m.
Kula — Białek Bogdan . . . . I m. „ 8,83 m
Granat — Białek Bogdan . . . IV m. „ 84 m. (oburącz)
Skok wzwyż—Luciak Zdzisław . III m. „ 1,50 m.
Pięciobój wojskowo-sportowy: Majewski Leon . . . . . V m.

Oprócz tych zawodów między-szkolnych odbyły się zawody wewnętrzne o mistrzostwo naszego gimnazjum, na program których złożyły się: zawody piłki ręcznej (szczypiorniaka), zawody piłki latającej (volley'balla), zawody strzeleckie (z floweru) i zawody kolarskie.

Mistrzowstwo szkoły w piłce ręczncj zdobyła klasa VIII bijąc klasę VII 16:3 i klasę VI 33:15;

Klasa VIII zdobyła również mistrzostwo w volley — balla, pokonawszy klasę VII w stosunku 3:0 (15:5; 15:5; 15:0; = 45:10).

Do zawodów strzeleckich stanęło 36, zawodników, z których

I m.	zdobył	Myśliwski	Hieronim	VIII kl.
II m.	„	Wrzesiński	Andrzej	VII kl.
III m.	„	Prendowski	Mieczysław	VIII kł.
IV m.	„	Krotke	Stanisław	I kl.
V m.	„	Konarski	Stanisław	VIII kl.

W tydzień potem odbyły się zawody kolarskie na przestrzeni 5 klm. szosy kozienieckiej Mistrzem został Borowski Jan VI kl. czas 8,40'; II m. Wisłocki V kl; III m. Frydman VIII kl.

Zawody te odbyły się pod kierownictwem p. prof. Morawskiego, Sędziami byli członkowie Zarządu Koła Sportowego: Luciak, Prendowski i Myśliwski.

Miecz. Prendowski.

Rozgrywki o mistrzostwo klas.

Staraniem Kółka Sportowego przy K. M. „Filarecja" zostały zarządzone rozgrywki o mistrzostwo klas w piłce latającej i szczypiorniaku.

Dnia 3.X-26 r. zawody piłki latającej między klasami ósmą i siódmą dały wynik 3:0 (punktami 45:10) na korzyść klasy ósmej. Dała się zauważyć duża technika i wyrobienie klasy ósmej, która śmiało może się uważać za reprezentację szkoły; chociaż również zespołowi klasy siódmej nie zbywało na ambicji

Tegoż dnia rozgrywka szczypiorniaka między temiż klasami dała zasłużone zwycięstwo klasie ósmej: 16:3, do przerwy 9:0. Gra ostra; mimo to nie przechodziła w brutalną.

Obu zawodom sędziował p. prof. Dańczak, który, dzięki swej energji i powadze, w dużej mierze się przyczynił do piękna gry.

* * *

Dnia 9.X-26 r. odbyły się zawody szczypiorniaka między klasami ósmą i szóstą z wynikiem 32:14 (13:0). Ósma klasa w drużynie klasy szóstej znalazła groźnego rywala, to też do zwycięstwa w większej mierze przyczyniła się duża ambicja klasy ósmej niż przewaga techniczna. 14 bramek na swą niekorzyść może ósma przypisać tylko dużemu wyrobieniu szóstaków. Gra może nieco za ostra, ale to już jest właściwością szczypiorniaka.

Sędziował kol. Godziszewski (kl. VII-ma), który ostro karcił chwilowe zapomnienia się graczy.

Sportowiec.

Z MIESIĄCA.

W końcu bieżącego miesiąca nastąpiło znaczne ożywienie w naszym kulturalnym życiu. Pan prof. Dańczak swym odczytem „O życiu i dziełach Jana Kasprowicza“, wygłoszonym w sali teatru świetlnego „Czary“, rozpoczął cykl poważnych odczytów, urządzanych staraniem T, N. S. W.

W końcu również miesiąca odbyła się Akademja na cześć H. Sienkiewicza i była dość dobrze wystawiona popularna sztuka „Kościuszko pod Racławicami“. O tej ostatniej imprezie wspominam, ponieważ do jej wystawienia walnie się przyczynili moi koledzy, jako statyści, (grenadjerzy gen. Wodzickiego).

Lecz prawdziwem „clou sezonu“ był Wieczorek artystyczny w gimnazjum żeńskiem im. Marji Konopnickiej

Przy wejściu, ja, recenzent „Filarety“, który „jako taki“ powinien mieć wejście „gratis“, musiałem wyciągnąć 20 groszy na

bilet. Poczytałem to za zły omen, juz nie tylko dla siebie, lecz i dla całej tej imprezy i, jak się później okazało, nie bez słuszności, albowiem ostatni punkt programu, który miał „Wieczorek“ uwieńczyć i godnie zakończyć, został skreślony, a to jego skreślenie bynajmniej nie przyczyni się do zwiększenia popularności „Wieczorów Artystycznych“.

A szkoda.

Na program składał się: referat p. Kantorskiej „O sztuce“, deklamacje p.p. Millerówny „Poetom“, wyjątek z „Lilli Wenedy“ i Tarnowskiej „Na skrzydłach pieśni“, kilka pieśnie chóru „Hasło“, „Kozak“, „Tęsknota“, „Taniec“, i wreszcie gra na skrzypcach kol. St. Sitarskiego, przy akompanjamencie p. Karbownickiego.

Referat „O sztuce“ był dobrze opracowany. Stronie technicznej samego referatu t.j. jego budowie, językowi i stylowi nic nie można było zarzucić, jedynie odczytywanie było słabe i nie uwidaczniało jego zalet, nie podbijało słuchaczów. Dłuższa pochwalna wzmianka należy się deklamacjom, wypowiedzianym z prawdziwem uczuciem i przejęciem się, tak przez jedną, jak i przez drugą deklamatorkę.

Najsłabiej wypadła gra kol. St. Sitarskiego. Dawał się wyczuwać brak wczucia się w grany utwór i brak oddania jego miękkości i lekkości, miejscami nawet szwankowała strona techniczna, należy jednak podkreślić dobrą wolę.

Całość „Wieczorku“ zostawiła miłe sympatyczne wrażenie i dała pewną ilość estetycznych uczuć. Czekamy na dalsze „Wieczory Artystyczne“.

Medwoj.

Krzyż przydrożny...

Było już dobrze po południu. Złoto-purpurowa tarcza słoneczna poczęła już coraz bardziej zbliżać się do siniejącej w oddali linji lasu. Srebrzyste nitki babiego lata uwijały się w powietrzu, podobne włosom anielskim, a lekki wiatr pędził je w mglistą, zasnutą dymami pastuszych ognisk — dal. Złote promienie

słońca padały na wiekiem pochylony krzyż przydrożny i oświecały pogodną i cichą twarz Zbawiciela. Po ugorach i gdzieniegdzie jeszcze pozostałych ścierniskach, pasło się bydło, które od czasu do czasu jakby z żalem podnosiło rogate głowy i wydawało długi, przeciągły ryk, jakby na znak, że i one czują nadchodzącą lutą zimę. W tem odgłos dzwonu kościelnego na „Anioł Pański" począł się odzywać po rosie. Biegł szybko, muskając swemi tony tę czarną matkę naszą ziemię i te lipy i wierzby na rozstajnych drogach, odbijał się od ściany pobliskiego lasu rozchodząc się wzdłuż i wszerz po okolicy. Doszedł i do Bartka, który orał macoszyne zagony pod oziminę, wedle dworskiego pola. Dźwięk dzwonu ugiął mu kolana i zdjąwszy czapkę począł szeptać: „Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna...... i modlił się tak, gorliwie i długo, spoglądając na stary krzyż przydrożny, oświetlony ostatnimi promieniami słońca. A miał się za co Bartek modlić. Ciegiem go ino macocha wyganiała do roboty, że ani se kości nie mógł wyprostować po robocie a i jadło dawała, że uchowaj Boże. Już mu dwa razy obiecywała sprawić kapotę i zawsze się wymawiała, że to przednowek, to się gody zbliżają, więc trza pieniędzy i do tego doszło, że nie miał czem się przyodziać w niedzielę do kościoła. Stąd nie dziwota, że mu się wreszcie ten marny żywot sprzykrzył do cna...... Tak się modlił i rozpamiętywał swą dolę Bartek a tak się rozczulił, jako, że chłopak był miękki, że aż mu łzy ciurkiem poczęły biec z oczu i skrapiać tę czarną żywicielkę glebę.... Powstał z klęczek pokrzepiony na duchu i począł zabierać się do chałupy, bo już mrok wieczorny zapadał. Prędko mu jakoś i lekko poszło, bo się w dwa pacierze uwinął, zaprzągł gniadą do wozu i ruszył w stronę domu...... I tak cięgiem jeździł i orał, siał i zbierał plon, ale już nie narzekał na swój los. Bo ilekroć spojrzał na łagodną i miłosierną twarz Zbawiciela, tyle razy spływał mu do duszy jakiś dziwny, błogi spokój, który pokrzepiał mu siły do dalszej znojnej pracy na roli.

Jerzy Bąbała.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Józef Jentsch** — Radom, pl. 3 Maja 1

— Odbito czcionkami Zakładów Drukarskich Sejmiku Radomskiego i S-ki. —